

## Ragus Eryk

### Małe dziewczynki smakują najlepiej

Z „*Science Fiction*” nr 10 – listopad 2001

Chłopiec przysiadł na murku. Pięścią podparł brodę, po czym zamarł w bezruchu. Na tle czarnych ścian kanałów wyglądał niczym namalowany. Być może jakaś jego cząstka została stworzona bez udziału Matki Natury, ale mimo to on czuł, że jest prawdziwy. Natomiast wszystko wokół, to co znał na wskroś, wydawało mu się dziwnie sztuczne. Jakaś nienazwana siła, drzemiąca w jego umyśle, podpowiadała mu, że to wszystko powinno wyglądać zgoła odmiennie.

Patrząc na wodospad ścieków, spływający z wyższej kondygnacji kanałów, chłopiec odnosił wrażenie, że nie powinien on mieć brunatnego koloru. Dziwił go wszechobecny smród, brunatna maź okrywająca ściany, wieczna ciemność... Ale innego świata nie znał, a te odczucia były instynktowne - nie mógł ich racjonalnie wyjaśnić. Trwał w bezruchu z nadzieją, że w którejś chwili z siłą wodospadu spadnie na niego oświecenie.

Miał może z dziesięć lat, ale rysy twarzy zdradzały jego wewnętrzną dojrzałość. Dawno temu nauczył się obserwować i wyciągać wnioski. Pozwoliło mu to poznać wędrówki karaluchów, kryjóWKi szczurów oraz czas wizyt Profesora. Zyskał w tym bezlitosnym świecie przewagę, dzięki której mógł przetrwać.

Z pomocnego korytarza wydobyła się, niesiona silnym przeciągiem, charakterystyczna woń. Metaliczny stukot jak werble rozbrzmiał gdzieś na zachodzie. Stopniowo opadał poziom ścieków, odsłaniając wąskie chodniczki znajdujące się po bokach tunelu. Wodospad, jeszcze przed chwilą szeroki, był już teraz tylko strużką śmierdzącej wody.

- Oho!, chyba mamy wizytę - rzekł Kłykieć do siebie. Wpełznął w czarną otchłań rury kanalizacyjnej i przepadł w niej, pozwalając powrócić gryzoniom do ucztowania.

\* \* \*

O porze obiadowej oznajmiło melodyjne brzmienie gongu. Trzy drugie, nakryte piękną porcelaną stoły znajdowały się w białej, niemal rażącej czystością sali. W powietrzu czuć było zapach wykwintnych potraw. Chwilę po wybrzmieniu dźwięku pancerne drzwi otworzono. Do jadłodajni wbiegła gromadka rozbawionych dzieci. Wszystkie zajęły swoje miejsca i dziarsko ścisnęły w dłoniach srebrne sztuce. Ostatnia weszła malutka dziewczynka. Tuląc do siebie wytartego misia, niechętnie przekroczyła próg.

Usiadłszy na krześle, spuściła głowę. Trzej przystrojony w kolorowe maski kucharze nakładali obiad, w rytm kreskówkowych piosenek tańcząc wokół stołów. Rozbawione dzieci śmiały się szeroko. Tylko dziewczynka była smutna.

Wybiegając z sali, przebieierańcy zdążyli krzyknąć: - Smacznego! - i wszystkie maluchy rzuciły się na apetyczne jedzenie.

Dziewczynka nie jadła. Z naburmuszoną miną spoglądała w sufit. Palcami bębniła o blat stołu, próbując sobie wmówić, że aromat francuskich naleśników jest w rzeczywistości smrodem.

Jak gdyby w odpowiedzi na jej zły humor, w drzwiach stanął Profesor. Jego rozczochrane włosy wiły się we wszystkich kierunkach, częściowo przesłaniając jajowatą twarz. Wielkie cylindryczne okulary, na stałe chyba przytwierdzone do garbatego nosa, powiększały jego oczy do kolosalnych rozmiarów. Oparty ramieniem o framugę, charakterystycznym gestem zawijał na palec długi wąs.

Zapewne to właśnie jego wygląd, który w ciemnym zaułku mógłby przyprawić dorosłego człowieka o zawał, budził w tych brzdącach zaufanie. Na pierwszy rzut oka Profesor przypominał bowiem bohaterów ich ulubionych kreskówek. Czasem, po przyjściu, atmosferę pełną napięcia i oczekiwania przerywał stając na głowie i robiąc zęza (albo coś jeszcze bardziej niedorzecznego). Tak było i tym razem, więc w jadalni wybuchła niepohamowana radość. Tylko mała dziewczynka się nie śmiała. Profesor spostrzegł to od razu.

- Co się stało, Kokardko? - zapytał czule. By bez kłopotu odróżniać dzieci, każdemu nadawał imię zgodne z jego nieodłącznym atrybutem. Kokardka z powodzeniem mogłaby się nazywać „Misia”, ale akurat ten przydomek zarezerwował dla kogoś innego. Dziewczynka wydeła policzki i odwróciła głowę.

- No, bądź grzeczna i powiedz - poprosił, delikatnie pociągając za wielką czerwoną wstążkę, wiążącą kasztanowe włosy.

- Nie! - odburknęła, krzyżując ręce na piersi. Profesor nigdy nie radził sobie z kobietami. W ogóle nie radził sobie z dorosłymi ludźmi, a z kobietami w szczególności. Co prawda Kokardka miała zaledwie kilka lat, ale na pewno była kobietą. Bardzo młodą, ale już wykazującą cechy charakterystyczne dla jej płci. I gdy zdał sobie z tego sprawę, od razu doszedł do wniosku, iż jakakolwiek ugoda jest w tej chwili bardzo, ale to bardzo wątpliwa.

- No, dobrze, ale zjedz chociaż obiad. Nie chciałbym, byś kładła się do łóżka głodna. - Umilkł, na darmo oczekując jakiegokolwiek reakcji. - Zaraz sobie pójdę, a ty spróbuj chociaż troszeczkę. Bardzo się starałem, żeby wam smakowało - rzekł, by następnie wycofać się na z góry ustaloną pozycję.

Jeszcze przez chwilę Kokardka trwała w pozie rozkapryszonego dziecka, po czym z wyraźną niechęcią chwyciła w dłoń widelec. Profesor uśmiechnął się do monitora, przekazującego obraz z kamery. Uśmiechnął się jak ojciec.

\* \* \*

W sobie tylko znany sposób Kłykieć przepelznął przez system ciasnych rur, dzięki czemu w oszałamiająco krótkim czasie znalazł się u wejścia do rozległej sali. Prócz gęstego powietrza i kilku karaluchów, nie zastał tam nikogo. Ze swoich legowisk wyniosły się nawet szczury, ale chłopiec wiedział, dokąd podążyły. Już miał ruszyć w pościg, lecz raptem przypomniał sobie żart, który wymyślił niegdyś w chwili całkowitego znudzenia. Tajemniczo uśmiechnął się do siebie, po czym z powrotem wpełznął w czarną otchłań dziury.

\* \* \*

W wąskim tunelu brzmiało echo kroków. To Profesor krzywymi nogami rozcinał grubą warstwę szlamu. Charcząc i pomrukując, nerwowo rozglądał się na boki, jak gdyby spodziewał się ataku ze strony oczekujących brudem ścian. Kłykieć zauważył to podczas ostatnich „odwiedzin” i choć przed Profesorem udawał poważnego, to ledwo co powstrzymywał się od śmiechu, widząc ten karykaturalny marsz.

Skulony w wąskim tunelu nabrał w garść odrobinę gęstej mazi i gdy tylko biały kitel, zwieńczony potężną szopą włosów, znalazł się tuż pod nim - rzucił.

- Na Boga, cóż za przekłete szczurzyśka! - warknął Profesor, odskakując instynktownie na bok.

Wspiął się na palce i zajął w rurę. Gdyby nie całkowita ciemność, zapewne dostrzegłby czerwoną z wesołości (i braku tlenu) twarz chłopca. Włożył głowę głębiej, świdrując wzrokiem czarną otchłań, tak że niemal zetknęli się nosami. Kłykciowi zaczynało brakować powietrza. Gwałtownie oderwał dłoń od ust, wydając z siebie głośne parsknięcie. Przerażony Profesor odskoczył do tyłu. Potknął się o zdezelowaną oponę, w ostatniej chwili złapał za zwisający łańcuch, który jednak nie wytrzymał ciężaru i wraz z nim runął do błota. Wstał, klnąc na czym świat stoi. Jeszcze przed chwilą rażący bielą fartuch wyglądał teraz jak płaszcz uszyty ze skóry dalmatyńczyka. Kłykieć, który zdążył uciec z miejsca zdarzenia, wył ze śmiechu.

Gdy niedługo potem Profesor wkroczył do Sennej Sali, chłopiec zmienił się nie do poznania. Najmniejsze oznaki wesołości przepadły, za to na jego twarzy zagościł grymas bólu. Rękami obejmował brzuch. Kołysał się w rytm jedynej znanej sobie piosenki, którą nucił pod nosem, „Włazi kotek na płotek”... W rozległej sali, gęsto usianej posłaniami, dziesiątki dzieci bujały się jednakowym rytmem. Na widok Profesora rozpromieniły się. Starły z twarzyczek słone strumyki i podbiegły do wybawiciela.

- Kochani! - krzyknął euforycznie Profesor, tuląc i obcałowując każde z osobna. - Kochani...

Dłuższą chwilę trwały radosne powitania, ale wkrótce nieznośna choroba przypomniała dzieciom o sobie. Z podręcznej torby Profesor wyciągnął słoiczek wypełniony opalizującym płynem. Gdy nabierał dawkę do strzykawki, jego twarz mieniła się różnobarwnymi odbłaskami. Kto tylko nadstawił nadgarstek do zastrzyku, zaraz odchodził z błogim uśmiechem. Po wykonaniu pozostałych rutynowych badań, zamyślonym krokiem Profesor ruszył w kierunku Sali Narad.

Stanąwszy na podium westchnął, zaburczał pod nosem, chrząknął, kaszlnął i po pełnej napięcia ciszy przemówił:

- Moi mili, doskonale wiecie, jak objawia się choroba. Doskonale wiecie, że niełatwo ją całkowicie wyleczyć, ale też wiecie, że po każdej wizycie co najmniej jedno z was opuszcza ten przekłety loch. Tym razem nie będzie inaczej. Jedno z was zdaje się być niemal w pełni zdrowe, a tym kimś jest... - spauzowała.

Czuł, jak krople potu spływają mu po twarzy. Zerknął na boki, bacznie obserwując ściany. Im dłużej mówił, tym, zdawało się, niżej opadała jego głowa. Garb narastał, przypominając mu, jak bardzo nienawidzi tego miejsca. Za każdym razem, gdy przestępował progi kanałów, ogarniał go niepokój, a nieraz i paniczny strach.

- Tym kimś jest... - chrząknął - Kły... - zadławił się i kaszlnął niczym astmatyk, wypluwający wraz z krwią swoje życie.

W Sali Narad rozbrzmiały podniecone głosiki. Dwie pochodnie, zawieszane na bocznych ścianach, wypalały się i dawały coraz mniej światła, kąpiąc w swym czerwonym blasku pełne nadziei twarze. Tymczasem Profesor miał coraz większe trudności z mówieniem. Co rusz rozpoczynał jakieś zdanie, ale po jednej głosce kończył je niemożliwym do opanowania kaszlem. Próbując umknąć wszędobylskiemu wzrokowi ścian, chował się za podestem. One patrzy na mnie, patrzy wprost na mnie!, krzychał w myślach, obsesyjnie ściskając zimny kamień podium. Czuł się jak szaleniec, uzależniony od własnej klaustrofobii, jak buldog, chroniący się przed kwaśnym deszczem w budzie jamnika.

- To Kły... - kaszlnął. - To Chłystek - wysapał, i nim imię wybrańca dotarło do uszu wyczekujących dzieci, złapał chłopca za ramię i przy akompaniamencie głośnych plusków umknął porażającemu spojrzeniu ociekających brudem ścian.

\* \* \*

Zamyślona Kokardka leżała w aksamitnej pościeli. W dłoniach obracała wytartego misia. Pluszaki o najprzeróżniejszych kształtach, w najprzeróżniejszych kolorach, uśmiechały się do niej z regału. Kusily, wyciągając mięciutkie łapki. Dziewczynka nie dotknęła żadnego z nich, od kiedy znalazła się w tym miejscu.

Miała swojego misia - burego z klapniętym uszkiem, bez jednej łapki, z guzikowymi oczkami. W jakimś magicznym sposobie zabawka próbowała jej o czymś przypomnieć. O czym? Tego dziewczynka jak do tej pory nie odkryła.

Pod opieką Profesora mogła mieć dosłownie wszystko. Mogła urealnić niemalże każdą zachciankę. Do niedawna, tak jak inne dzieci, cieszyła się beztrudnym życiem. Ale w pewnym bliżej nieokreślonym momencie ze zdziwieniem zauważyła, że coraz częściej leży wpatrzona w sufit, próbując rozplatać supeł osobliwych myśli. Podświadomie czuła, że codzienność może być tylko imaginacją. Jak gdyby świat, w którym przyszło jej żyć, istniał wyłącznie we śnie. Dziwił ją wszechobecny zapach kwiatów, idealny porządek i rażące bielą ściany...

Z zamyślenia wyrwał ją cichy szum rozsuwanych drzwi. Korytarz był pusty. Zimny przeciąg w towarzystwie tajemniczego szeptu wdarł się do pokoiku, tak jak gdyby próg przekroczyła niewidzialna postać. Czując dreszcz niepokoju przebiegający po karku, zamarła. Paznokcie chudej ręki błysnęły na framudze. Kokardka odetchnęła. Uśmiechnięty Profesor wszedł i przyklęknął tuż przy łóżku.

- Jak się czuje moja ulubiona pociecha?

- Dobrze - odpowiedziała markotnie.

- Na pewno? Jakoś źle wyglądasz. Zjadłś wszystko, jak prosiłem? - zapytał, chociaż doskonale znał odpowiedź.

- Tak.

Nic nie mogło umknąć jego oczom, bo w tym świecie to on był ścianami. Tutaj nic się nie działo bez jego wiedzy, każdy pierwiastek miał pod kontrolą. Tylko że nawet to nie pozwalało mu wejrzeć w głąb psychiki Kokardki, nie mógł odczytać jej myśli. Na ekranie monitora migotała jedynie wiecznie smutna twarzyczka o zamyślonym spojrzeniu. Niepokoiło go to, więc postanowił poświęcić jej więcej uwagi. Tyle że każde podejście utwierdzało go w przekonaniu, iż nie radzi sobie z kobietami. Tak naprawdę więcej w niej było dorosłości niż kobiecości.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Niedługo będziemy mieli nowego gościa, małego chłopca. Z początku będzie mu trudno przyzwyczaić się do tego miejsca, dlatego chciałbym, byś się nim zaopiekowała. Co ty na to? - uśmiechnął się w myślach, będąc pewnym triumfu.

Miał rację. Bez wątplenia był dobrym strategiem. Zresztą, kto by nie był, znając na wylot pole walki?

- Tak?! - wykrzyknęła podniecona Kokardka. - To, to... To po prostu wspaniale! - rzuciła mu się na szyję, a on uśmiechnął się.

Uśmiechnął się tak, jak tylko ojciec potrafi.

\* \* \*

Kłykcia ogarnęła rozpacz. Istniało w kanałach takie miejsce, które nazywał Kącikiem Rozpaczy. Odnalazł je niegdyś całkiem przypadkiem, a nazwał ze względu na to, iż tworzące je ściany rzeczywiście płakały. Nie wodospadami, jak wiele innych ścian; one zawodziły prawdziwie. To był dobry moment, aby się tam znaleźć.

Gdy oczekiwał werdyktu Profesora, gdy nie pozostawiające cienia wątpliwości „Kły...” wyrwało się z jego gardła, wpadł w prawdziwą euforię. Spodziewał się, ba! - był stuprocentowo pewien, że to on, tylko on, opuści ten śmierdzący kanał i pozna świat na zewnątrz. Tak często o tym marzył... A potem, w ułamku sekundy, jak uderzenie w głowę, spadło na niego rozczarowanie. Początkowo nie potrafił uwierzyć, ale nim zdążył zaprotestować, Chłystek był już daleko, coraz bliżej szczęścia.

Oparł się o wilgotną ścianę. Jedyne odgłos skapujących kropelek szlamu zakłócał idealną ciszę. Spodziewał się wybuchu rozpaczyny łada chwila. Tak naprawdę miał w głowie swoisty zegarek - wszystko w lochach działo się o określonej porze, a on już wpasował się w ten rytm, dzielił z nim swój los. Gdyby nagle coś poszło nie tak, a konkretne zdarzenia przebiegły w innej niż zazwyczaj kolejności, cały jego świat, cała filozofia - zawałyby się.

Ciche łkanie rozbrzmiało za ścianą. Z każdą sekundą nasilało się i po chwili stanęło w szranki z gniewnym głosem. I nagle wszystko umilkło. Karaluch wymaszerował pomiędzy stóp Kłykcia. Znał tego karalucha. Pochodził zza Ściany Rozpaczyny i codziennie o tej samej porze wymaszerowywał ze swojej małej norki. Chłopiec żałował, że nie może zapytać go, co znajduje się po jej drugiej stronie.

Zwiesił ręce. Zaczerpnął wielki haust powietrza, lecz oddech utknął mu w gardle. Odskoczył jak oparzony - coś pod jego łokciem drgnęło. Spojrzał na ścianę i momentalnie spostrzegł, że jedna z cegieł wsunęła się głębiej. Bez zastanowienia popchnął ją. Ta poddała się lekko i spadła po przeciwnej stronie. Całkiem przypadkiem otworzył sobie okno na nowy świat.

Z bijącym sercem zajął do utworzonego otworu. Zobaczył ogólny zarys korytarza, tonącego w mroku. Był on długi i wąski, dalej ginał w egipskich ciemnościach. Po lewej widniały drzwi, pomiędzy szczelin wyływało światło. Niepewnie popchnął inną cegłę. Jeszcze łatwiej dała się poruszyć, ale nie spadła i nie poszerzyła otworu. Brakło mu odwagi.

Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że perspektywa poznania nowego świata może być jeszcze bardziej przerażająca, niż samo przebywanie w kanałach. Nim zdążyłby mrugnąć, całe jego wieloletnie doświadczenie przestałoby się liczyć. Miałoby dokładnie takie samo znaczenie, jak kropla szlamu, która wpada do potoku i kończy swój żywot. A skoro wszystko w tym przeklętym miejscu wydawało mu się złudzeniem, to może i chęć odzyskania wolności była pozorna? Co innego uciec z Profesorem, prawdziwym przyjacielem.

Kłykcia nurtowała jeszcze jedna myśl. Wiedział, że nosi w sobie nieuleczalną chorobę. Spluwając do studni, skazałby na zagładę całe miasto. Nie był mordercą, co najwyżej drapieżnikiem - zabijał, aby przetrwać. To Profesor wiedział, co jest dla niego najlepsze. Muszę po prostu cierpliwie czekać, pomyślał, odrzucając możliwość samowolnej ucieczki.

Tymczasem musiał radzić sobie z o wiele bardziej przyziemnymi kwestiami. Zaskoczony szczur nie zdążył umknąć jego zręcznym dłońmi. Zębami przetrzącił mu kark i wgryzł się w pulsujące ciało.

\* \* \*

Sensacyjna wiadomość w jednej chwili wypędziła z Kokardki cały smutek. Zastąpiła go dziecięca ciekawość, wzmagana przez bezczynne oczekiwanie. Kokardka długo przebywała w domu Profesora, a jednak nie pamiętała, by kiedykolwiek przyjmowano do niego nowych „pensjonariuszy”. Nie przywiązywała wagi do twarzy, więc jeśli nie działo się to w czasie hucznego przyjęcia, mogła je po prostu przeoczyć. Tak - ci rówieśnicy z pewnością byli jej obcy.

Tym razem miała być inaczej. Tym razem miała otrzymać kogoś „na własność”. Kogoś, kim by się opiekowała, komu by pomagała, kogo by przytulała... Coś jak „żywego misia”. Tylko o wiele bardziej ważnego.

Nerwowo maszerowała z kąta w kąt, często zerkając na korytarz. Przeczucie mówiło jej, że już niedługo wszystko się wyjaśni. Gdy późnym wieczorem niemal straciła nadzieję, w progu stanął uśmiechnięty Profesor. Na rękach trzymał białe zawiniątko. Bez słowa położył je na łóżku. Bawełniana kołderka zsunęła się i odsłoniła twarz. To nie był niemowlak, ale bardzo małe, może roczne dziecko.

- Nazywa się Krzyś. Jest jeszcze...

Kokardka uklękła przy łóżku. Nie słuchała Profesora. Nawet nie zauważyła, kiedy opuścił pokój. Maluch spał spokojnie, oddychał miarowo, ale jego powieki drżały. Śnił. Dziewczynka zapagnęła poznać jego sen, więc chwyciła za miniaturową rączkę. Zamknęła oczy, lecz nie zobaczyła nic, prócz ciemności. Zawiodła się. Nie wiedziała, że właśnie została jej przekazana ogromna moc.

Krzyś obudził się. Nieśmiało podniósł powieki, oślepiiony blaskiem żarówki. Przez chwilę obracał oczkami, by w końcu zatrzymać wzrok na twarzy Kokardki. Otworzył usteczka, jakby chciał coś powiedzieć.

- Śpij... - szepnęła dziewczynka, ale on nie dawał za wygraną.
- Ma... ma - wyjąkał wreszcie z trudem. Kokardka uśmiechnęła się jak matka.

\* \* \*

Zapach środków dezynfekcyjnych wypełniał pomieszczenie. W błękitnym blasku lampy lśnił metalowy stół i wielkie szafy. Lodówka wydawała z siebie charakterystyczne, ledwo dosłyszalne buczenie. Wrażenie chłodu potęgowały zielone kafle na ścianach i podłodze. Metaliczny chrzęst zamka, powielony echem, rozsądził ciszę. Wszedł Profesor, a zaraz za nim nieco niższy, młody chłopak o ostrych rysach twarzy.

Obydwaj założyli gumowe rękawiczki. Z podłużnej lodówki wyjęli zsiniałe ciało i ostrożnie umieścili je na stole. Energicznym ruchem Profesor zdarł ze stolika płachtę. W zimnym świetle metaliczne przyrządy zabłyszczały niczym narzędzia tortur. Sztywną skórę delikatnie połechtano ostrze skalpela, by po chwili bez pardonowo wdrzeć się w głąb ciała.

- To naprawdę przedziwne, mój przyjacielu - przemówił Profesor, nie zwracając uwagi na wzbudzone dreszcze chropotanie. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak szybko one potrafią przystosować się do środowiska. Mimo iż całe dzieciństwo spędzają w dostatku, nie doznając krzywd ani zmartwień, w mgnieniu oka uczą się nowych zachowań, nowego trybu życia... Dziecięcy potencjał jest doprawdy zadziwiający! - wykrzyknął, wbijając kleszcze w klatkę piersiową.

Zdecydowanym ruchem wyłamał kości. Maseczki operacyjne w niewielkim stopniu niwelowały niesamowity smród, który wydobył się z wnętrza ciała. Z organów Profesor pobierał próbki i umieszczał je w pojemnikach wypełnionych for-maliną.

- Ten nowy środek, powodujący czasowe bóle brzucha, działa wyśmienicie. Teraz bez kłopotu mogę utrzymać ich w ryzach. No i nareszcie mam wytłumaczenie, dlaczego trzymam ich w tych lochach. Na wszelki wypadek, gdyby ocalałe szczątki wspomnień wydostały się na zewnątrz. Nawet nie masz pojęcia, jakiego bałaganu narobili ostatnim razem! Prawie cały eksperyment musiałem powtarzać! Zresztą - uśmiechnął się pod nosem - ty powinieneś coś o tym wiedzieć. A teraz? Nie buntują się, bo widzą we mnie „wybawcę”! O ironio!

Zakrył pokieszowane zwłoki płachtą. Milczący towarzysz pomógł umieścić je na powrót w chłodziarce. Strumień ciepłej wody popłynął z kranu. Nie zaschnięta krew łatwo dała się zmyć.

- Wiesz, czasem mam wyrzuty sumienia. Gdy trzeba zesłać kogoś, kogo darzę sympatią. No, nie patrz tak na mnie! Ja też mam uczucia. Kiedyś chyba się nawet zakochałem... Ale po co ja ci to wszystko mówię? Pewnie masz już dość mojego głędzenia? Ech, w zasadzie nie dziwię ci się... - westchnął i wytarł ręce.

Metaliczny chrzęst zamka sprawił, że w pomieszczeniu znów zaległa niepokojąca cisza. Tylko lodówka buczała w charakterystyczny sposób.

\* \* \*

Przez całą noc Kokardka czuwała, choć Krzyś spał mocno. Dopiero nad ranem zmrużyła powieki. Wspomnienie, dotychczas ukryte głęboko w podświadomości, wydostało się na zewnątrz. Spowodowało to pojawienie się chłopczyka, który, o czym nie mogła widzieć, miał odegrać o wiele istotniejszą rolę.

Śniła o innym świecie, wielkim, niemalże nieograniczonym, kolorowym i pachnącym. Pełno było w nim krzyków, śmiechu... Śniła o świecie, w którym nie było sufitów, a zamiast nich niebieska przestrzeń, upstrzona śnieżnobiałymi plamami. Śniła o świecie, gdzie kwiaty były wielkie, gdzie ludzie byli mali i duzi, a zapach był miły i przykry. Nie było tam Profesora, stalowych drzwi i białych ścian. Jedną tylko rzecz łączyła świat ze snu ze światem Profesora - bury miś.

Dwie roześmiane twarze nachyliły się nad nią. Potem znikły, białe plamy przestały płynąć, pojawił się za to on - Profesor. O dziwo, nie uśmiechał się, był raczej przestraszony, zaaferowany. Chwycił za łapkę misia. Pociągnął, a ona oderwała się. Kokardka zaczęła płakać. Objął rozdygotane ciało dziewczynki i zaczął uciekać, jak gdyby popełnił jakąś straszliwą zbrodnię. A przecież chciał tylko pomóc - przecież był nieskończenie dobry. Trzasnęły stalowe drzwi, pojawił się sufit, biel, zapach kwiatów. Światło zgasło, oczy zalała smolista czerń.

Zbudziła się, złana zimnym potem. Krzyś głośno łkał. Kołysała go na rękach, śpiewała jedyną znaną piosenkę. Niespodziewanie zrozumiała, że dzieliła z nim swój sen. Nie potrafiła tylko zrozumieć, dlaczego płakał.

Kłykieć także śnił tej nocy. Obluzowana cegła odblokowała wcześniej niedostępny rejon pamięci. Śnił o innym świecie, w którym nie było szczurów, a dzieci się śmiały. Śnił o świecie, w którym ściany nie były

czarne, ale białe, w którym ciemność trwała tylko wtedy, gdy spał, a brzuch nigdy nie bolał. Śnił o świetle, w którym zapewne znalazł się Chłystek, o świetle, którego pragnął.

Profesor także śnił tej nocy.

\* \* \*

Krzyś z dnia na dzień stawał się pogodniejszy, Kokardka szczęśliwsza, a Profesor bardziej zadowolony. Maluch stawał na nogach niezgrabnie, próbował wymówić pierwsze słowa, często się śmiał, a w nocy spał spokojnie. Kokardka czerpała z tego wiele radości, w przeciągu kilku chwil jej życie zyskało nowy wymiar. Nareszcie przestała czuć się niepotrzebna. Mimo to wspomnienie niepokojącego snu nachodziło ją, gdy tylko głos Krzysia milknął.

Ów sen był jak gdyby rozwinięciem osobliwych myśli. Powoli, jeszcze nieświadomie, dojrzywała w niej zdolność oceniania. Wiedziała, że senna mara zawierała w sobie coś złego, lecz źródła tego zła nie upatrywała w Profesorze, ani w niczym innym. Sposób jej myślenia nie był już dziecięcy, chociaż wciąż niedojrzały.

Gdy swoim zwyczajem siedziała wpatrzona w sufit, zaszumiały stalowe drzwi. Jej twarz znów oplótł zimny przeciąg. Szept, wyraźniejszy niż poprzednio, składał się z konkretnych wyrazów. Nie potrafiła zrozumieć ich sensu, ale brzmiały jak nawoływanie. Po karku przebiegł jej dreszcz niepokoju, ale tym razem paznokcie chudej dłoni nie zabłysnęły na framudze.

Miast tego kolejny raz rozległo się nawoływanie. Krzyś obudził się i korzystając z nieuwagi Kokardki, szedł na podłogę. Na czworakach podszedł do progu i wystawił głowę na korytarz. Zachichotał.

Kokardka otrząsnęła się. Pochwyciła małego w ramiona, równocześnie dostrzegając sprawcę całego zamieszania. Spory szczur stał na tylnych łapkach, kręcąc długimi wąsami. Na widok dziewczynki odskoczył jak oparzony, podreptał kilka metrów w głąb korytarza, po czym znów zamarł w bezruchu. Poruszając czarnym noskiem, wyglądał dość komicznie. Prawdopodobnie to sprawiło, że Kokardka, bardziej pewna siebie, z Krzysiem na rękach, ruszyła w pościg.

Gdy tylko robiła krok, gryzoń odskakiwał. Wyraźnie droczył się z nią. Doszła do wniosku, że właśnie stała się uczestnikiem kolejnej gry, wymyślonej przez Profesora. Rozbawiło ją to. Za to w czarnych oczkach szczura nagle załśniła niepewność. W wąskim wysokim korytarzu na dziesiątą część sekundy zgasły światła, a po chwili rozbrzmiał w oddali stukot chodaków.

Intruz rzucił się do panicznej ucieczki. Skręcił za róg, na moment znikając Kokardce z oczu. Zanim dobiegła do zakrętu, rozległ się pełen bólu i przerażenia pisk, tak makabryczny, że aż się wzdrygnęła. W ramionach kurczowo ścisnęła Krzysia. Nie słyszała, jak szlocha. Wybiegła zza narożnika, lecz jeszcze szybciej odskoczyła do tyłu, kryjąc się za ścianą. Jej gardłem szarpał krótki oddech, z trudem przełykała ślinę. Przytknęła dłoń do piersi, wewnątrz której jak oszalałe waliło serce. Druga przerażająca myśl owładnęła jej umysłem. Miała puste ręce.

Cichy łomot odbijał się echem od stalowych ścian tunelu wentylacyjnego. Kratka, blokująca dostęp do jego wnętrza, leżała na podłodze. Teraz już nie wiedziała co gorsze. Zniknięcie Krzysia, czy widok rozwścieczonego Profesora, rozdeptującego czaszkę całkiem miłego gryzonia. Czarna posoka na tle śnieżnobiałej podłogi przyprawiła ją o mdłości. Z trudem powstrzymywała odruchy wymiotne. Nie wiedziała co gorsze, ale przynajmniej w jednej sprawie mogła coś poradzić.

\* \* \*

Kilka kropel szlamu skapnęło na rozczochrane włosy Kłykcia. W kanałach było to całkiem naturalne, więc nawet nie spojrzął do góry. Chrobotanie też było naturalne, toteż zostało przez niego zignorowane. Niczym nadzwyczajnym nie cechowała się ciurkiem spływająca po ścianach śmierdząca woda. Zirytowany całym szeregiem naturalnych, aczkolwiek denerwujących incydentów, chłopiec wstał i zamierzał oddalić się w inne miejsce. Nagle jednak jego uwagę przyciągnęło coś nie do końca zwyczajnego. Dziecięcy lament często wypełniał tunele kanałów, w których populacja dzieci nie ustępowała szczurzej, ale ten płacz był inny.

To, co po chwili wypełzło z rury, zaskoczyło go jak nigdy dotąd: malutkie dziecko umorusane błotem i kurzem. Z zaczerwienionych oczek sączyły się łzy. Kłykiec stał w kącie, próbując znaleźć oparcie na oślizgłych ścianach. Bezskutecznie. Upadł. Dyszał z przerażenia. Oto urealniał się jego sen.

- Ta... ta? - z trudem wyjąkał maluch.

Radość, która niespodziewanie pojawiła się na twarzy dziecka, nie pasowała do brudnych ścian, smrodu, miny Kłykcia, ani w ogóle do tego miejsca.

Chłopiec stopniowo trzeźwiał. Wciąż był przestraszony, więc nader ostrożnie ruszył w kierunku roześmianego brzdąca. Podkrażał się do niego niczym kot. Wyciągnął drżące dłonie, ale zawahał się. W końcu przewyciężył niepewność, zamknął oczy i jednym ruchem pochwycił malucha w ramiona. W tej samej chwili cały niepokój uleciał.

Nigdy wcześniej nie widział tak małego dziecka. Tylko we śnie. W koszmarze, co prawdopodobnie stanowiło przyczynę przerażenia. Gdy jednak poczuł ciepło, bijące od malutkiego ciała, słabe bicie serca, gdy zobaczył szczery uśmiech - wtedy zdał sobie sprawę, jak złudne bywają senne mary. Spojrzał jeszcze raz do wnętrza rury. Miał dziwne wrażenie, że to jeszcze nie koniec niespodzianek. Usiadł i mimo całego szeregu naturalnych, aczkolwiek denerwujących incydentów, postanowił zaczekać.

\* \* \*

Profesor po raz drugi miał ten sam koszmar. Śnił o świecie, w którym nie było eksperymentów. Dzieci uwolniły się i wśród radosnych okrzyków wybiegły na ulice. Laboratorium zarosło pajęczynami, a zapomniane zwłoki zgniły w nie działającej lodówce. Nawet hordy szczurów wydostały się ze śmierdzącego lochu. Pozostał tylko wszechobecny odór i dźwięk skapujących kropel. A w samym środku on - siedzący na wilgotnym murku, z brodą podpartą na pięści.

Zerwał się, zlany zimnym potem. Wypił duszkiem szklanekę zimnego mleka, co pozwoliło mu w pewnym stopniu oprzytomnieć. Usiadł przy biurku, zapalił lampkę. Otworzył notes i zaczął wpisywać imiona. „Do zesłania” - widniało w nagłówku. Los czworga dzieci został przesądzony. Gdy wpisał pierwsze trzy litery imienia piątej, ręka mu zadrżała. Przypomniawszy sobie o czymś, o czym wolałby nie pamiętać. Westchnąwszy, zamknął notes, pozostawiając kleksa tuż obok liter:

KOK.

\* \* \*

Stali naprzeciw siebie, badając się wzrokiem. Kłykcia najbardziej zainteresowała wielka czerwona kokarda na głowie dziewczynki, barwy podobnej jak jej sukienka na szelkach. Ale sukienkę znaczyły w wielu miejscach ślady kurzu i błota. Wstążka natomiast była idealnie czysta. Nigdy nie widział tak czystego koloru, oprócz bieli fartucha Profesora. Skojarzył te fakty i bezbłędnie wywnioskował, że ona pochodzi ze świata „na zewnątrz”.

Kokardkę najbardziej zainteresowały oczy chłopca. Były całkowicie czarne, w ogóle nie posiadały tęczówek (chyba że czarnych jak smoła). Całkiem jak oczy szczura. Połączyła te fakty i z łatwością wykoncypowała, że gryzoń pochodził z tego samego świata, co stojący przed nią chłopiec. Ze świata, w którym się właśnie znalazła.

Krzyś siedział pomiędzy nimi i taplał się w błocie.

- Jesteś ze świata, gdzie ściany są białe? - przemówił wreszcie Kłykieć.

- Dziewczynka przytaknęła.

- Skąd wiesz?

- Śniłem o nim. Tam znalazł się Chłystek. Może i ja się tam kiedyś znajdę?

- Chłystek? Nie słyszałam takiego imienia. Ale tam jest dużo dzieci i nie znam ich wszystkich. Znam Krzysia - wskazała palcem na malucha. - To mój synek.

- Mój też - zawtórował chłopiec. - Czy tam jest pięknie? Na pewno. Jest miły zapach i jest czysto, i Profesor tam jest. Dlaczego tu przysłaś?

- Przysłałam za Krzysiem. Ale tam nie jest pięknie. Wszystkie pokoje są takie same, jest smutno i cicho. A Profesor... - zawahała się. - Zabił szczura.

- My tu też zabijamy szczury, to nic strasznego. Musimy przecież jeść - wytłumaczył i wzruszył ramionami. - Nic strasznego.

Kokardka spojrzała na niego z niepokojem.

- Jest jeszcze jeden świat - rzekł chłopiec po chwili milczenia. - Nie widziałem go, a tylko drzwi, zza których padało jasne światło. Były tam krzyki, bałem się zobaczyć.

Ciekawość rozbłysła w oczach dziewczynki.

- Widziałam ten świat we śnie! - wykrzyknęła. - Tam jest niebieski sufit, wielkie kwiaty i mili ludzie. Tam jest naprawdę pięknie, piękniej niż u Profesora. Jeśli świat z twojego snu istnieje, to ten z mojego też musi być prawdziwy. On tam na pewno jest, tam gdzie te krzyki! Musimy iść natychmiast!

Nie miał powodu, by jej nie wierzyć, lecz w głębi odczuwał strach. Mimo to chwycił Krzysia za rączkę i razem z Kokardką ruszyli w ciemny tunel. Kłykieć nigdy o tym nie wspominał, ale też śnił kiedyś o

świecie z błękitnym sufitem i ogromnym kwiatami. Choć nie mógł tego wiedzieć, to jednak podświadomie czuł, że w tym świecie nie ma Profesora.

\* \* \*

W ciszy patrzyli na ścianę, jak gdyby oddawali hołd miejscu kultu. Może nie sam mur, ale to, co znajdowało się zanim; w ich położeniu z pewnością zasługiwało na szacunek. Pierwszy wyciągnął dłoń Krzyś. W ruchach jego widoczne było dziwne natchnienie. Całkiem jakby wiedział, po co znalazł się w tym miejscu. Dotknął cegły, ale był za słaby, by ją przepchnąć. Kłykieć i Kokardka przemogli się. We dwoje nie potrzebowali wiele czasu, by wystarczająco poszerzyć otwór.

Druga decyzja była o wiele trudniejsza. Tak jak za pierwszym razem, w jej podjęciu pomógł niepozorny maluch. Na czworakach przeszedł przez dziurę. Odwrócił się i jęknął coś piskliwym głosem. Chłopiec i dziewczynka wzięli głęboki oddech i zamierzali przestąpić próg dzielący dwa światy, lecz w ostatnim momencie powstrzymał ich donośny krzyk.

Od brudnych ścian odbijały się echem rytmiczne pluski. Z tunelu wybiegł zdyszany Profesor. Z obawą spoglądał na boki, jego ręce drżały. Próbował przemówić, ale nie pozwalał mu na to astmatyczny kaszel. Wielką dłonią, o palcach niczym pajęczce odnóża, chwycił się za gardło. Przez moment charczał, toczył z ust pianę, ale w końcu przewyciężył kaszel.

- Uciekajmy stąd, szybko! - wysapał. Dzieci zbliżyły się do siebie, mocniej ścisnęły za ręce. Prerażonym wzrokiem obserwowały pajęczce ruchy Profesora. Gdy ten wyciągnął nieproporcjonalnie długie ręce w górę, odskoczyły do tyłu.

- Proszę was, tu nie jest bezpiecznie! W każdej chwili może was spotkać ogromna krzywda, nie mamy czasu! - tłumaczył bezskutecznie. - Kokardko, przecież tu jest tak... brudno, wszędzie śmierdzi, nie ma kreskówek ani pluszowych misiów. Kokardko, choć ze mną, a za chwilę znajdziesz się z powrotem w przytulnym pokoiku. Z dala od błota, szczurów i tych, tych, tych... - warknął gniewnie. - Pójdiesz ze mną, prawda?

Kokardka bez wahania pokiwała przecząco głową. Objęła w pasie Kłykcia i schowała się za jego plecami.

- Kłykciu, chociaż ty mi zaufaj! Jestem bliski wyleczenia twojej choroby, jeszcze tylko jeden zastrzyk i będziesz mógł spotkać Chłystka! Jeden zastrzyk, rozumiesz? On już czeka na ciebie, już wie, że przyjdiesz. Nie zawieź go. Nie zawieź... mnie, proszę. Przecież ja nigdy cię nie zawiodłem, nie zrobiłem krzywdy, tobie ani nikomu innemu. Wiesz o tym doskonale, prawda? No, powiedz, że tak, powiedz! Tyle razy tu przychodziłem, leczyłem twój ból...

Chłopiec bił się z myślami. Jakaś część jego podświadomości nie pozwalała mu usłuchać Profesora, inna znów rozkazywała natychmiast rzucić się w jego ramiona.

- W moim świecie też są kwiaty. A twój pokój mogę pomalować na niebiesko.

Wewnętrzny zegarek Kłykcia zatykał. Poczł bolesne ukłucie w brzuchu. Kokardka padła w kałużę błota i wybuchnęła płaczem, zalewając brązową maź deszczem diamentowych okruchów. Armia szczurów wybiegła z korytarza i rzuciła się w pogoń za Profesorem i Kłykiem.

\* \* \*

Cienie na zimnych ścianach zadrżały. Wyciągnęli z lodówki zwłoki chłopca i umieścili je na stole. Metalowe narzędzia zaśniły w blasku lampy. Skrawki wątroby, trzustki, serca, kolejno ładowały w słoikach wypełnionych formaliną. Kropelki krwi ściekały ze stołu, rozbijając się z pluskiem o posadzkę. Smród był jeszcze gorszy niż zazwyczaj. Chłystek nie wytrzymał i zymiotował na podłogę.

Wiek lodówki opadło, zakrywając sobą przerażoną twarz Kłykcia. Tak wyglądał, gdy Profesor zarzynał go nożem. Brzuch za szybko przestał boleć i chłopiec chciał uciec. Gdyby nie to, zapewne udusiłby się własnymi wymiocinami, wcześniej poczęstowany specjalną tabletką. Żadna z tych perspektyw nie była dla niego zbyt optymistyczna. Cóż, za drzwiami prowadzącymi do laboratorium to Profesor był panem sytuacji (i zazwyczaj bezwzględnie to wykorzystywał).

- Widzisz, Chłystku, gdy ci się wydaje, że już wszystko jest w należytym porządku, zawsze czeka cię niespodzianka. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić - westchnął. - Jak tobie się udało? Nie mam pojęcia! Leczenie, kwestia przypadku... Ech, taki mój los. Nie ma czego zazdrościć. Ta cholerna maszyna do zacierania wspomnień działa coraz gorzej. A dziś muszę trzech wysłać do kanałów. Bury ma pierwsze symptomy, tak samo Czupryn i Nochal. Choroba zaczyna się uaktywniać, dłużej nie mogę ich tu pozostawić. Zbyt duże niebezpieczeństwo.



Umył ręce. Starł krew z posadzki. Na widok zwróconej zawartości żołądka Chłystka wzdrygnął się. Wydezynfekował narzędzia, słoiki umieścił na wózku.

- Najbardziej przeraża mnie myśl, że Kokardka uciekła z kanałów. Trzeba jak najszybciej zamurować tę ścianę, albo... O Boże! A gdyby tak przypadkiem trafiła do Sennych Sal i podzieliła się odkryciem z resztą tych przeklętych stworzeń? Przecież gdyby wydostały się na zewnątrz... - jego serce zabiło szybciej. - Nie, to niemożliwe! Na pewno przestraszyła się

I albo siedzi teraz skulona w kącie, albo pałęta po ulicach miasta. Gdyby ktoś ją znalazł, wszystko mogłoby się wydać... Niechże zgnije w ciemnym zaułku, tak! Tak byłoby najlepiej! - zirytowany rzucił w kąt zakrwawioną szmatę. - Przeklęta dziewczyna!

Metaliczny chrzęst zamka sprawił, że znów dał się słyszeć utulający szept lodówki.

\* \* \*

W korytarzu zebrała się spora grupa dzieci. Na obszarze kilku metrów leżały postrzępione skrawki ubrania. Zdarta skóra, brak kończyn oraz niemal wszystkich narządów wewnętrznych uniemożliwiły identyfikację zwłok. Ciepła krew jeszcze parowała. Mleczną mgiełkę rozwiął mroźny oddech kanałów. Obok zmasakrowanej twarzy, w bordowej kałuży pływała kokarda.

Do tunelu wbiegła zgraja szczurów. Wygłodniałe zwierzęta nie potrzebowały wiele czasu, by oczyścić kości z resztek mięsa. Gdy skończyły, pierzchnęły. W tunelu znów zaległa cisza. Gdzieś w oddali niespiesznie skapywały kropelki wody. Ostatni świeży powiew zmieszał się z gęstym, śmierdzącym powietrzem kanałów.

Maluchy rozeszły się w milczeniu. Przy zwłokach został tylko jeden chłopiec, obojętnie wpatrzony w obryzganą ścianę. Schylił się i zaczął węszyć. Nie wyczuł nic, więc rękawem łachmanów starł krew z warg i brody. Tu nie było więcej pożywienia. Szkoda, pomyślał, bo ta dziewczynka smakowała wybornie.

Gdy w końcu odszedł, a w chwilę potem jego umysł wyrwał się ze szponów demona choroby, zadał sobie pytanie. Zresztą - nie on jeden. Ta tajemnica była wspólna dla wszystkich dzieci i każde zastanawiało się, dlaczego tak często nowoprzybyli w niewyjaśniony sposób znikają.

A Krzyś - Krzyś chyba znalazł się po przeciwnej stronie tajemniczych drzwi.

**Eryk Ragus**